

JÓZEF BARAN

KONCERT DLA NOSOROŻCA (47)

DZIENNIK POETY Z PRZEŁOMU WIEKÓW
(FRAGMENTY)



Na szczęście przy hotelu znajdował się basen. Mogłem zaobserwować, jak nie znający się Amerykanie nawiązują łatwo rozmowy, obsiadając pod wieczór wkoło basenik z podgrzewaną wodą z bąbelkami i paplając przy piwie czy winie. Są mistrzami powierzchownych, serdecznych kontaktów. Mary, turystka z Teksasu, zdążyła nam przez kwadrans wspólnego postępu pod półką skalną opowiedzieć, gdzie żyje i pracuje, pokazać fotografię syna – wirtuoza fortepianu, dać do zrozumienia, że jest rozwiedziona i wypytać o interesującą ją szczegółą. A czyniła to naturalnie i bez wścibstwa... Nazwa Zioń (Syjon) odzwierciedla zachwyt i przerażenie, jakie odczuli tu pierwsi mormońscy osadnicy, którzy ochrzczili też płyty skalne podobnie górnolotnymi imionami: Ładowisko Aniołów, Wielki Biały Tron, Dwór Patriarchów etc. Kanion znajduje się na 1000-metrowym płaskowyżu. Podobno 170 milionów lat temu był jedną krystaliczną pustynią, zanim podziemne napięcia, tąpnięcia tektoniczne nie spowodowały gigantycznych przesunięć na powierzchni. Wszystko to trudno sobie wyobrazić biednej ludzkiej głowie: 170 milionów, czy 17 milionów, a może 170 tysięcy lat? Cóż to za różnica dla mnie ludzkiej mrówki.

Jeszcze w większym stopniu znikomość i mrówczość istnienia odczułem w Wielkim Kanionie Kolorado w Arizonie. Dotarliśmy tu z przeszkodami, gdyż nie skręciliśmy gdzie trzeba i błędny duch westernowych krajobrazów wodził nas na pokuszenie po bezludnych manowcach. Zważaliśmy, by na postojach nie oddalać się zbyt daleko od auta pomiędzy szafłowie krzewy, jałowce czy kwiaty brush painting Indian (pędzle indiańskie), bo wygrzewają się wśród nich grzechotniki i jadowite pająki. Wielka arizońska równina, a właściwie płaskowyż, jak nożem uciął. Na horyzoncie z rzadka torty ceglanych, piaskowcowych skał; inny świat. Kto by pomyślał, że to pustyńskie plateau (płaskowyż), przeradzające się potem nagle w lasy sosnowo-świerkowe podobne polskimi, ukrywa tak cudowną niespodziankę: Wielki Kanion Kolorado, czyli... gigantyczny lej w ziemi, wąwóz na półtora tysiąca kilometrów i szeroki na 6-29 km. Natura pokazuje tu w całej okazałości swoją potęgę i obojętność wobec historii ludzkiej i krótkiego człowieczego żywota. Z

punktów widokowych zionie otchłanna panorama niezwykłych spięrzeń, cypli, wieżowców z piaskowca i odsłanianych kolejno przez miliony lat pokładów i warstw skalnych. W dole wiję się wstążeczka rzeki Kolorado, jednej z głównych sprawczyń kanionu; przepływa przez sam środek najwyższego wzgórza określanego przez Indian Kaibab (wzgórze bez szczytu). Opinie ekspertów co do powstania kanionu bywają rozbieżne... Tak czy owak nadal pogłębia się on w tempie 15 metrów na... milion lat. Przy jego dnie znajdują się najstarsze odsłonięte geologiczne pokłady na ziemi...

W Wielkim Kanionie otrzymałem dyplom poganiacza mułów. A doszło do tego tak. Dawno temu szlachcic Ossoliński wjechał do Rzymu końmi podkutymi złotymi podkowami. W 2004 – były szlachcic z Kresów Leszek Czuchajowski, nie chcąc być gorszy, przypomniał sobie, że jego ród też nie wypadł koniowi spod ogona! 200 dolarów z kieszeni wyciągnął na znak, że się szasta na trzy konie... znaczy muły i nuże namawiać, żebyśmy zjechali do Wielkiego Kanionu, odróżniając się od ciarachów amerykańskich schodzących na piechotę. Dwa dni myślałem i choć ze szlachectwem nie mam nic wspólnego, ale sobie przypomniałem moje nauki jeździeckie pobierane na łączkach borzeckich. Niewielkie one, biedne te nauki były, bo chabeta w robocie wyżyłowana, nie w głowie miała hippiki. Co prawda muł to nie koń, ale podobny do konia, uszy ma tylko jakieś dziwne, osłe, i egzotycznie się odzywa, kwicząc jak prosię, co wydaje się raz skargą, raz okrzykiem wojennym. Cierpliwki, powolny, w sam raz dla takiego jeźdźcy jak ja. Egzamin z angielskiego zdałem na piękne oczy, bo tak naprawdę nie zdałem. Któż wiedział, że do pogaduszek z mułem trzeba błysnąć biegłą znajomością angielskiego? Gdybym wiedział, pewnie bym się w Polsce bardziej przyłożył do lekcji. Dobrze, że nasz fundator kawalerskiej wyprawy tak usilnie przekonywał kasjerkę do mojej poetyckiej gwiazdy świecącej nad dziwnym krajem Poland, o którym ona wiedziała mniej niż o Patagonii, że koniec końców dopuszczono mnie.

Aliści nie przewidziałem, że mój George, bo takie imię miał mój muł, jest aż tak żerny. Tedy, gdy ruszyliśmy w piątek o 6 rano w dół kanionu, nadziwić się nie mogłem, że bestia nie tylko o skubaniu trawy i chaszcy przydrożnych myśli, a nie o uprzyjemnieniu mi jazdy.

Co się zapatrzyłem w otchłań zionącego u stóp wielkiego kanionu i w głowie poematu ważyłem o wielkości Stwórcy i znikomości mojego parobkowania na tej Ziemi, to George ścigał mnie z poetyckich obłoków na ziemię, zatrzymując się na każdym skrajnie szlaku dosłownie nad przepaścią i zażerając się nad nią ukurzoną trawą i badziewiem, jakie mu się pod pysk nawijały. A ja wysztywniony, modliłem się w myślach, żeby nie skatapultować – przez jego naprężony grzbiet i pochyloną szyję – na łeb na szyję w przepaść... I tak chyba z 50 razy powtarzała się ta scena nad przepaścią, która obrzydzała mi do dna jazdę... i ja z 50 razy zapierałem się w sobie, żeby lęk pokonać i nie dać nic po sobie poznać, bom przecie Polak z krwi i kości. Walczyła we mnie proza z poezją, zachwyt ze wstrząsami na wertepach, mgła natchnienia z kurzem drogi, styl wielki ze stylem małym... A kurzyło się za każdym mułem, że hej, boja byłem piątą w kawalkadzie. Leszek też mocował się na zakrętach ze swoją chabetą i pewnie przeklinał w duchu Ossolińskiego, że mu poddał

ten pomysł. Jakże szczęśliwi wydawali się piechurzy z plecakami schodzący tym samym co my, szlakiem w dół. Chętnie bym się do nich przyłączył, bom ja w gruncie rzeczy też skromny piechur życia, ale nie wypadało rejterować, tym bardziej, że każdy metr mulej drogi był zapłacony! Czując więc – z jednej strony – jaka „potynga” i Majestat biją z tych widoków w dole, że nic tylko na kolana przed nimi upaść i zawrotu głowy doznać od zaglądania w oczy milionom lat – z drugiej strony – nogi w strzemionach mocno naprężyłem, w kulbace się poprawiałem, przemyśliwując, jak przetrzymać jeszcze tyli szmat drogi w dół i uszczerbku nie doznać na ciele i duchu...

Czy byliście kiedyś przejeźdzeni krajobrazami? I to najwspanialszymi pod słońcem, wprawiającymi w osłupienie, w podziw i zachwyt... coś z tego, gdy... wprawiającymi do czasu, bo gdy „ochy” i „achy” się powtarzają, moce percepcyjne w człowieku, początkowo wyostrzone – tępieją, flaczeją i nie są w stanie już nic przjąć. Nie da się żyć pod ciągłym napięciem poezji krajobrazowej. Zresztą po Wielkim Kanionie nic nie mogło mnie już oślnić. Byłem jak mój muł, który w drodze powrotnej nie mógł patrzeć na trawę – tak mu obrzydła. Las Vegas? Czymże ci ludzie się tak zachwycają? Może, gdybym miał w kieszeni do przegrania w kasynie – nie 34 dolary, a 30 tysięcy, to wciągnęłaby mnie ta okrzyczana jaskinia hazardu? A tak to pozostaliśmy, chudopacholscy wędrowcy, na zewnątrz miasta, które niczym specjalnym nie wydawało się wyróżniać. Miasto jak miasto, ani nam nic do niego, ani jemu do nas. Po wyjściu z kasyna – pstryknęliśmy sobie parę zdjęć pamiątkowych, żeby pochwalić się, żeśmy i tam byli, i uciekaliśmy, gdzie pieprz rośnie od tych tłumów, upałów, aut, hoteli i zanieczyszczeń... Po drodze do Nevady zainteresowała nas jeszcze Tama Hoovera, bo znów spotkaliśmy tam przelotną „starą” znajomą z Wielkiego Kanionu – rzekę Kolorado, którą w tym miejscu spętano wielką zaporą i zagoniono do roboty. Chcąc nie chcąc, wytwarza w turbinach energię przemienioną potem w prąd elektryczny... dla dwudziestu paru milionów Amerykanów. Cóż za niezwykłe moce tkwią w tej rzece...

Szaro-popielata bezludna Nevada, którą przyszło nam przemierzyć w drodze powrotnej, po zatoczeniu łuku z Las Vegas (a do domu w Moscov – 2 tysiące kilometrów!) – pasowała w sam raz do naszego nastroju ducha. Nie sposób żyć ciągłymi niedzielami, trzeba od czasu do czasu poposić. A bezludna Nevada to był właśnie postny pejzaż po rozpustach krajobrazowych. Krzewy dżozui i jukka, szaflwie i tumany pustynnego pyłu. Księżycowy krajobraz, kiedyś próby z bronią jądrową, grzechotniki, jaszczurki, i tym podobna monotonia, niziutkie skały, świerszcze albo cykady, sen paralityka, a czasem tir na drodze czy szkolny autobus na znak, że ktoś tu mieszka... Można trochę podzierać, odpocząć...

Już nie tak daleko od granicy z Idaho, głązy jak pięści wygrają niebu, pierzaste obłoczki. Wciąż jeszcze ziemia jałowa... Caliente – piękna nazwa stacji. Kwiaty brush painting indian zarastające pustynię. Znikają drzewka dżozuli, pojawiają się krowy na łąkach. Chmury, drzewa liściaste, jakie lubię – kołyski przestrzeni, oddaliska, wysokie niebo, deszczownie na polach. (...) Rolniczo, zasobnie, krowy, konie, jeziora.

cdn.